Nr. 4. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 16. lutego 1928. Rok 50.

ŁOWIEC

KALENDARZ ŁOWIECKI W lutym wolno polować na cietrzewie koguty.

NR. 4. WE LWOWIE, 16. LUTEGO 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

Już sam fakt przyznania przez międzynarodowy aeropag myśliwski, tylu zaszczytnych nagród powyższym eksponatom, był sprawdzianem istotnej ich wartości.

Wybitne cechy niezwykłego piękna sporej ilości okazów, posiadały tak wielką siłę przyciągającą, że dość często w Galerji naszej dosłownie roiło się od widzów. Przyczem co chwila rozbrzmiewały zachwytu okrzyki: *Wunderbar! Colossal! Praechtig! Magnifique! Superbe!* i wielojęzyczne inne, pośród których dźwięknął też niekiedy nasz rodzimy — zgoła niewersalski — lecz dosadnie wszystko określający superlatyw: *psiakrew!...*

A nam, przewodnikom po tej Galerji, a zarazem strażnikom jej skarbów, zachwyty te dumą i radością napawały serca.

Jakże zapomnieć te chwile szczerego podziwu i uznania, samorzutnie przez widzów objawianego.

Znamiennem wszakże i ciekawem było, kto wśród tłumnie zwiedzających nasz skarbiec myśliwski, zainteresowanie tak silne wzbudził i klejnoty jego krytycznie oglądać i oceniać nauczył? Kto mianowicie był tym doskonałym „Baedeckerem“? bez którego, jak wiadomo, nietylko profan, lecz nawet i koneser niekiedy rzecz wartościową snadnie przeoczy. Czyżby małomówiący nasz katalog mógł to sprawić? Nie! A więc trzeba to wyjaśnić.

Oto rozgłosu o walorach naszych trofeów dokonali znawcy tej miary, co ks. M. Egon Fürstenberg, ks. Trautmansdorf, ks. Alojzy Liechtenstein, hr. Coloredo-Mansfeld, margr. Alojzy Pallavicini, hr. Sylva Tarouca i hr. Hans Wilczek.

Oni to bowiem obowiązkowo — jako członkowie generalnego Komitetu wykonawczego Międzynarodowej Wystawy — kilkakrotnie zwiedzili naszą Galerję podczas jej urządzania i z drobiazgową dokładnością badali znajdujące się w niej przedmioty, notując skrzętnie ich wartość myśliwską i metryki pochodzenia. Następnie informując Komitet sędziowski i kolegów po lufie, o swych spostrzeżeniach, coraz to inne powagi świata łowieckiego sprowadzali do tego lamusu i *ex catedra* zapoznawali z jego walorami.

W ten sposób z ust tego autorytetu — bezpośrednio i pośrednio — przedostała się wielogębna fama o trofeach galicyjskiej fauny myśliwskiej do prasy codziennej i fachowej, a stąd do wiadomości publicznej.

Ale to nie wszystko, co ta bezstronna reklama imprezie naszej przyniosła. Pozostaje jeszcze wpleść do wieńca tradycyjnej sławy polskiego łowiectwa nowy liść wawrzynu. Symbolizują go poważne słowa oceny naszych trofeów, wypowiedziane przez najwybitniejszego wówczas myśliwca, mianowicie austrjackiego cesarza F. J. I., protektora tej olbrzymiej wystawy.

Pierwsze słowa tej wysoce miarodajnej oceny padły z ust cesarskich w dniu 10 czerwca 1910, w Pawilonie min. rob. publicznych. Tu właśnie, gdy ks. M. Egon Fürstenberg, reprezentantów myślistwa — niemal całego świata [1]) kolejno monarsze przedstawiał i przy wiceprezesie Komitetu wystawy J. A. Bielskim [2]) dodał: „Galicja wystawiła piękne okazy i w stylu poważnym", — cesarz rzekł: „O wiem, ten kraj posiada grube jelenie, o mocnych *(starke)* wieńcach i potężne odyńce". Hr. Bielski zaznaczył: „Galicja wystawiła zdobycze łowieckie nie historyczne, lecz tylko z okresu ostatnich lat 30-tu".

Bardziej atoli pamiętną i większej wagi w dziejach naszego łowiectwa stanowi chwilę dzień 13 czerwca 1910; tego dnia bowiem sędziwy monarcha-myśliwy zaszczycił naszą Galerję swoją bytnością.

Tu oczekiwało go u wejścia prezydjum naszego Komitetu w komplecie, a więc: prezes ks. Andrzej Lubomirski, obaj wiceprezesi: J. A. hr. Bielski i br. Jan Goetz-Okocimski, tudzież członek tego Komitetu, dr. Artur Kriser, których cesarzowi przedstawił minister dla Galicji dr. Władysław Dulęba.

Zwiedzanie rozpoczęło się według porządku od pola I-go. Objaśnień udzielali naprzemian ks. Lubomirski i hr. Bielski.

Uwagę tego senjora ówczesnych myśliwych, a zarazem wytrawnego znawcy,.zwracają najpierw bajecznie piękne (rekordowe), rożki rogacza z Nienadowej (wł. St. hr. Mycielskiego); dalej (rekordowe), przepotężne szable dwu odyńców, ubitych przez J. A. hr. Bielskiego.

Cesarz, oglądając te wspaniałości, rzekł: „Znam je już z pawilonu konkurencyjnego".

Gdy ks. A. Lubomirski objaśniał, że dekoracji architektonicznej naszej Galerji dokonano wiernie według stylu ornamentyki, zdobiącej krużganki Zamku na Wawelu w Krakowie — odpowiedział cesarz: „Rzeczywiście jest to styl pełen dobrego smaku".

Przy zbiorze trofeów br. Adolfa Brunickiego z Lubienia, wśród których akwarela pędzla Wojciecha Kossaka przedstawiająca grupę myśliwych z b. następcą tronu Rudolfem na czele, oglądających obfity pokot lisów, — zauważył cesarz: „Wyłącznie lisy. Pamiętam! Było to podczas manewrów w Galicji".

Następnie obejrzał dokładnie zbiór krzeszowicki i dzikowski. W pierwszym podziwiał gigantycznego niedźwiedzia, znanego mu już z hali konkurencyjnej, dalej wieńce jeleni karpackich (Jasień Perehińsko); w drugim niżowych jeleni mokrzyszowskich. Dostrzegłszy tu obraz Kossaka, przedstawiający Zdzisława hr. Tarnowskiego, dojeżdżającego konno, bez sztućca — jeno z kordelasem — dzika, osadzonego na zrębie przez psy — zapytał ks. Lubomirskiego: „Czy dzika szczutego psami bierze się kordelasem, czy też strzałem?" — Odpowiedź brzmiała, że psami sforsowanego odyńca skłuwa się kordelasem, ale często też pakuje się mu kulę, aby psy od cięć jego szabel uchronić.

Poczem cesarz, oglądając kolekcję rożków Zdzisława hr. Tarnowskiego z 50-ciu rogaczy, ubitych na podjazd w jednym dniu — zapytał: „czy i obecnie stan sarn w Dzikowie jest wciąż taki, iżby zdobycie takiego rekordu umożliwiał?" Ks. Lubomirski pytanie to potwierdził.

C. d. n.



[1]) Z wyjątkiem Rosji i Ameryki.

[2]) Prezes ks. A. Lubomirski był chory.

ALBERT MNISZEK

ŁOŚ W PRUSACH WSCHODNICH

Potężny zwierz królewski, mocarz litewskich puszcz, zdawał się po wojnie światowej należeć już tylko do przeszłości, stać się zabytkiem muzealnym, li tylko pamiątką świetnych, dawnych czasów.

Na szczęście dzięki mądremu zarzadzeniu władz naszych, zastanawiającemu odstrzał łosia aż do odwołania, dzięki również bezwzględnej i enegicznej ochronie zwierza królewskiego przez właścicieli olbrzymich obszarów leśnych na polskiej Litwie i Białorusi, szczątki jego ocalały i stały się znów zawiązkiem jego odrodzenia. W roku zeszłym za pozwoleniem p. Ministra rolnictwa, dwa potężne egzemplarze tego łopaciarza odstrzelone zostały w ordynacji Dawidgródeckiej.

Inną odwieczną ostoją, a tak niedaleko od naszej, łosia — w Europie, są Prusy Wschodnie, a głównie ich część północno-wschodnia, wybrzeże Bałtyku i ujście Niemna.

W początkach XX stulecia wynosił stan łosi w Prusach Wschodnich 700—800 sztuk. Świetny ten stan zawdzięczał swe istnienie specjalnym zarządzeniom ochronnym, stosowanym przez Ministerstwo pruskie, które ograniczały odstrzał łosia samca tylko na wrzesień, klempy zaś odstrzeliwane być mogły tylko za specjalnem pozwoleniem władz.

Chociaż więc każdy właściciel choćby najmniejszego rewiru posiadającego łosie mógł je we wrześniu każdego roku odstrzeliwać bez ograniczenia, to przecież zwierz ten tak się wkrótce rozmnożył i począł czynić tak dotkliwe w drzewostanach szkody, że w roku 1910, Ministerstwo widziało się zmuszonem nakazać z urzędu odstrzał 100 sztuk rocznie w tej prowincji cesarstwa.

Stosowano też ten odstrzał przez cały szereg lat, aż do wojny światowej, bez widocznego ubytku. W inny jednak sposób okazały się ujemne strony tego forsownego odstrzału: z mniejszych rewirów prywatnych łosie znikły, pozostały tylko w wielkich wielotysięczno morgowych latyfundjach rządowych. A ponieważ przez cały szereg lat odstrzeliwano tak młodzież, jak i stare byki zanadto forsownie i bez planu, zauważyć się dała w szybkiem idąca tempie degeneracja gatunku w formowaniu się rosoch.

Wybuchła światowa wojna. Nie oszczędziła ona i tam mocarzy puszcz nadbałtyckich, ale gorszemi jeszcze były dlań czasy końca wielkiej dziejowej tragedji. Rewolucja, bezrząd, a z objawami temi idące, rozwielmożnione kłusownictwo zagroziło już wprost istnieniu potężnego tego gatunku.

Po poskromieniu anarchji, Ministerstwo wreszcie ogłosiło w 1921 r. bezwzględną ochronę łosia na lat pięć. W tym okresie stan znacznie się powiększył, mimo klęsk elementarnych, tak, że w 1926 r. Władze pozwalają już na odstrzał 12 byków, a to 10 w rządowych, a 2 w prywatnych rewirach.

Aby hodowlę łosi prowadzić planowo, rozporządzeniem prezydenta prowincji podzielono rewiry mieszczące ostoje tego zwierza na trzy strefy. Strefa pierwsza obejmuje najbogatsze centrum tych ostoi, obszar przy ujściu Niemna (Memeldelta), druga pas kilkanaście kilometrów szeroki okalający pierwszą strefę od strony lądu, trzecia resztę prowincji. Zwrócono baczną uwagę nietylko na pomnożenie zwierzostanu, lecz też i na podniesienie go jakościowo, z uwzględnieniem właściwej prawidłowej formy rosoch. W strefie piewszej, jako w 8/10 częściach własności rządu, najłatwiej było gospodarzyć planowo, tembardziej, że jest pepinierą zwierzostanu. Ostrzeliwuje się w niej przez fachową straż sztuki chore, a przedewszystkiem byki o porożach nieprawidłowych, gdyż tylko łopaty uznaje się za prawidłową i szlachetną formę łosiego poroża. Nadto nałożono na myśliwych przy udzielaniu im pozwoleń na odstrzał obowiązek przedkładania rosoch ubitych byków specjalnej komisji myśliwskiej, zbierającej się po ukończeniu bekowiska corocznie w Królewcu, która nietylko że ogłasza nazwiska tych, którzyby, strzelając byki młodsze, uchybiliby etyce myśliwskiej, ale też ma prawo nakładać na winowajców dotkliwe kary pieniężne.

Przychodzi mi tu na myśl, że i u nas zdałoby się bardzo zastosować to samo prawo w stosunku do odstrzału jeleni w Kapatach. Ministerstwo rolnictwa powinno do kontraktów dzierżawnych wstawiać punkt, że wszystkie wieńce ubitych przez dzierżawców polowań jeleni w rewirach rządowych winny być przedłożone specjalnej komisji, po ukończeniu rykowiska — we Lwowie, pod rygorem unieważnienia kontraktów.

Dzięki mądrym i celowym zarządzeniom władz, dzisiejszy stan łosi w Prusach Wschodnich zbliża się już liczbą do przedwojennego i jakościowo też z roku na rok się poprawia.

Nas sprawa ta żywo obchodzić powinna. Przez zamarznięty, czy też nawet płynący Niemen i małą Litwę Kowieńską z tamtąd do ostoi polskiego łosia jest niezbyt daleko (około 150 km w linji powietrznej).

Z „przełosionych“ rewirów pruskich konieczna — w niedalekiej przyszłości — emigracja łosi zwrócić się może tylko na południowy wschód i dążyć będzie do odwiecznych i naturalnych pieleszy swych pobratymców, zasilając w ten sposób rodzimy nasz kontyngent.

Bezwzględna jednak ochrona królewskiego zwierza jest u nas na kilka lat jeszcze jaknajbardziej wskazaną.

Zastanowić się też wypada, czy byłoby możliwe zakupno kilku sztuk (przynajmniej klemp) w pruskich rewirach rządowych i przewiezienie ich do naszych puszcz kresowych.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

I.

Antylopa „Mbawala“ a lampart

Ciąg dalszy.

Ale wątpliwości moje wnet zniknęły, bo lampart już mi zczezł z oczu. Wtedy mimowolnie popatrzyłem na baobab. Przyszła mi bowiem myśl niepokojąca: a może tam drugi kot ukrywa się pomiędzy jego rozłożystemi konarami?

— I mógłby mi skoczyć na głowę?!...

Ale równocześnie przychodzi refleksja. Z takiem nakryciem, jakie mam nad sobą — skok jego nie miałby powodzenia. Drapieżca rzucając się w moim kierunku musiałby chyba zawisnąć na siatce gałęzi, lijan i powojów, co prawda może tylko na chwilę, ale w każdym razie pierwsze uderzenie byłoby sparaliżowane, a on sam znalazłby się w kłopotliwem położeniu. Taka chwila dałaby mi możność zorjentowania się w sytuacji i ewentualnie przygotowania się do obrony.

To mię uspokoiło. Przypuszczać należało, że lampart (jak prawie wszystkie koty) który tylko nagłym i nieprzewidzianym skokiem chwyta swą ofiarę, nie zaryzykuje skoku, któryby go wtrącił w matnię lub ubezwładnił. Stąd też np. nigdy nie przesadza płotu w jednym skoku, nie sprawdziwszy dokładnie, co znajduje się po drugiej stronie i jaka go od tego miejsca dzieli odległość. — Jest zbyt wyrachowany. Zresztą jego psychika w tym względzie nie odbiega od psychiki ludzkiej, boć jak każdy człowiek chcąc skoczyć, musi wiedzieć, gdzie skacze i zmierzyć okiem odległość, względnie stojące na drodze przeszkody, zanim się na skok zdecyduje, tak i on uświadamia sobie bardzo dobrze wszelkie te ewentualności. Powiedziałbym nawet, że jeszcze lepiej je ocenia; bo jeśli chodzi o schwytanie zwierza, zwłaszcza takiego, który mu może stawić opór, to musi wraz ze skokiem skombinować także możność uchwytu i zadania mu ran, któreby przeciwnika jaknajrychlej ubezwładniły.

Skok lamparta jest zawsze obliczony. Rzuca się z tą pewnością siebie, że dosięgnie ofiary błyskawicznie, nigdy bowiem za nią nie goni.

Dobrze też rozumie jego ten system „Mbawala“, stąd też płynie jej zaufanie do swego schroniska, do swoich sił i zręczności, jaką potrafi w tej matni rozwinąć, i dla tego może żyć nawet w pobliżu tak groźnego sąsiada.

— — — — — — — — — — — — — —

Od tego dnia zacząłem pilnie obserwowować baobab i najbliższe miejsce poza gąszczakiem, którędy mógłby się ukazać lampart.

Przez kilka tygodni — już przed wschodem słońca ustawiałem się u wylotu ścieżki na dolinę. Okryty gąszczem, wyczekiwałem możliwego powrotu tego rabusia z jakiej nocnej wycieczki.

Jednak nadaremnie; nie pokazał się więcej z tej strony. Tropów jego już także tu nie znachodziłem, za to częściej w pobliżu stajni, którą obchodził w pewnem oddaleniu — jakby dla sprawdzenia, czy byłby możliwy skok na dach bez ryzyka wpadnięcia pomiędzy kolczaste gałęzie akacji, stajnię chroniące.

W tym czasie nie byłem ani razu na dolince ani nad strumieniem. Nie troszczyłem się już o „Mbawale“. Zadecydowałem oszczędzać je — więc mając ich przypuszczalnie nie wiele w gąszczaku, a te musiały pozostać na przyszły rok. Lecz jakież było moje zdumienie, gdy pewnego poranku okrążając dolinę, znowu odkryłem więcej niż zazwyczaj tropów z tej strony. Badając wszystkie ich przejścia i gęsto bobkami obsiane miejsca, przyszedłem do przekonania, że jest ich więcej, aniżeli się spodziewałem. Odkąd spokój zapanował na dolinie, którą przedtem dzień w dzień w różnych kierunkach przeszukiwałem, zaczęły znowu tu się gromadzić. Co ich przedtem ostrzegało o mojej tam obecności? Widok mojej osoby, czy też woń, jaką za sobą zostawiałem? Prawdopodobnie to drugie, a zwłaszcza woń moich tropów.

Bo, że tropy lamparta, zwłaszcza świeże, wyczuwają doskonale, nie wątpię wcale. Gdy ten kot przesunie się przez gąszcz krzewów i traw, pozostawia po sobie na czas dłuższy specyficzną woń, piżmową i przez człowieka wyczuwalną.

Jeżeli dla murzyna, który nie grzeszy zbyt rozwiniętym organem powonienia, biały człowiek śmierdzi, (tak samo jak my to stosujemy w odniesieniu do czarnego) — jeżeli pies po tej woni idzie niezawodnie za śladem swego pana — to dlaczegożby antylopa o tak wybitnych zdolnościach węszenia, nie mogła zwęszyć śladów człowieka? Gdy się uwzględni tutejszy klimat, i tę ilość wypocin, jakie człowiek ze siebie wydziela, i to, że nie tylko ubranie ale także obuwie przesiągnięte jest temi wydzielinami — musi się przyjść do przekonania, że i ślady jego stóp pozostawiają po sobie na pewien czas woń jego potu, i że dobry nos zdoła to odczuć.

Jak doskonale wywęszą słonie ślady stóp ludzkich, jak nawet odróżnić mogą ślady dla nich groźne od śladów obojętnych, przekonałem się niejednokrotnie. Dla tego nie dziwiłem się później, że czarny myśliwy wybierając się na słonie, smarował całe ciało łojem bawołu lub antylopy, aby zabić w ten sposób woń swych wypocin, któreby go przed tym gruboskórcem zdradziły.

Doszedłszy do tego wniosku — zacząłem się teraz liczyć z mojemi krokami. Przestałem dreptać po dolince we wszystkich kierunkach jak to dawniej czyniłem, ale obchodziłem ją półkolem wzdłuż pagórków.

Rezultat okazał się wnet.

Na stokach pagórków wynalazłem miejsce, które mi posłużyło za punkt obserwacyjny. Stąd mogłem z daleka za pomocą szkieł robić przegląd całej dolinki, jak również obserwować północną ścianę zagajnika, skąd wychodziły „Mbawale“. W chwili gdy stamtąd wyskakiwała, aby zanurzyć się w trawy, w których już spokojniej nurkowała, mogłem ją prowadzić pod szkłami i ewentualnie podchodzić, jeśli okoliczności na to pozwalały.

Obserwując ten teren czas dłuższy, przekonałem się, że aż trzy rodziny tych antylop z tej strony odwiedzają strumień. Ponieważ nikt ich teraz nie płoszył, zjawiały się na dolince i w ciągu dnia, a mianowicie między 11-tą a 12-tą przed południem. Czasem widziałem wszystkie trzy pary o jednym czasie, każdą jednak w innej stronie. Zjawiały się też i pojedyńcze sztuki. Przeważnie kozły pozwalały sobie na takie extra wycieczki w pojedynkę, między któremi był jeden stary okaz o ciemnej szacie i sporych różkach.

Do tych zwyczajów zwierzęcych dostosowałem teraz mój plan operacyjny. Ponieważ było tu już ku końcowi pory deszczowej i trawy trochę poschły i połamały się — a wiatr je tu i tam do ziemi przygniótł, nie mogły już antylopki ukrywać się w nich tak dobrze jak poprzednio.

Porobione we wielu miejscach zatory, zmuszały je często do skoków, co niejednokrotnie ułatwiło mi ich wykrycie. Mając już którą na oku, śledziłem w którym kierunku zdąża, aby się tam zasadzić — oczywiście przy sprzyjającym wietrze — i oczekiwać jej nadejścia na dobry strzał.

Wymagało to nieraz dużej dozy cierpliwości, bo nie zawsze zechciała „Mbawala“ zjawić się tam, gdzie sobie obmyśliłem, najczęściej przepadała nagle w trawach — jak kamień w wodzie. Jakim to działo się sposobem, było dla mnie długi czas zagadką.

Odkryłem po kilku nieudałych zasadzkach, że to znikanie raptowne nie jest przypadkowe. To „Mbawala“ sztuką swoją, brała mię „na kawał“; nie wiedziałem bowiem jeszcze wówczas, że wiele zwierząt posługuje się t. zw. „mimicry“, i że celuje w tej sztuce właśnie ta antylopka.

I zdarzało się często, że w czasie gdy ją z oddali śledziłem, jak się przedziera przez trawy i zarośla — nagle — natrafiwszy na krzak lub zielsko barwą swoją jej szacie podobne, przylepiała się — aby tak się wyrazić — do tej osłony od strony ocienionej, żem tracił ją z oczu, momentu tego nie zauważywszy. Błądząc potem wzrokiem po oddalonych od tego punktu miejscach, nie przypuszczałem nawet, że mam ją ciągle przed sobą i to niejednokrotnie na odległość strzału.

Te tryki stosowały szczególnie koziołki, gdy wychodziły w pojedynkę, a najczęściej stary kozioł, na którym mi najbardziej zależało.

Ale przyszła i na nich kolej. Zorjentowawszy się w sytuacji — nie wychodziłem już nigdy bez szkieł. I znowu w krótkim czasie ubiłem dalsze dwa kozły.

Stary kozioł ocalał; nie dał się nigdy podejść! Przeniósł się potem na drugą stronę zagajnika, gdzie go od nowa trzeba było tropić.

Zaprzątnięty myślą o nim, bo koniecznie chciałem zdobyć jego kapitalne rożki, zapomniałem chwilowo o lamparcie. Zapomniałem tembardziej, że na twardym gruncie tropy jego były niedostrzegalne, a także nie odzywał się więcej nocą, jak to bywało w porze deszczowej, gdy oznajmiał nam czasem z gąszczu chrypliwym swym głosem, podobnym do ryku osła, że jest syty, i nie ma zamiaru godzić na naszą trzodę.

Do gąszczaka zaglądałem tylko rzadko — a nigdy już sam. Zasadzając się w nim u wylotu na dolinę, brałem sobie za towarzysza któregoś z chłopaków, aby na każdy wypadek mieć tył zabezpieczony. Ostrożność ta wydała mi się konieczną szczególnie od czasu, gdy i pytony zagnieździły się w lasku, z których jednego przychwyciliśmy w kurniku po obfitej tam uczcie.

Zdarzyło się jednak, że pewnego popołudnia znalazłem się tam bez towarzysza. Na kraju zarośli zatrzymałem się. Rozglądając się ostrożnie, którędy zawrócić, czy na prawo, czy na lewo, spostrzegłem gniazdo osie tuż nad moją głową — i w tej samej chwili dostałem porządne ukłucie w ucho. Szarpnąłem sobą. — Chcę się cofnąć, ale ba! — ani kroku! — bo równocześnie tuż za mną chrzęst gałęzi, ryk i parskanie. To on! — ale gdzie?

Obracam się w kierunku głosu z bronią gotową do strzału. Stoję nieruchomie czas jakiś, potem staram się przykucnąć. Na ten mój ruch odpowiada gwałtownym krótkim rykiem, przez który przebijała się nuta sycząca. Jest tak blisko, że zdaje mi się, jakoby wydech jego uderzał w moją twarz falą powietrza. Ciarki mi chodzą po ciele, bo chociaż prawie pewny jestem, że ze swego ukrycia skoczyć ku mnie nie może, — wolałbym w tym momencie znaleźć się na więcej odkrytem miejscu, skądbym i jego mógł widzieć. Ciemna ściana gąszczu z jednej i drugiej strony, ścieżka wązka, groźny nieprzyjaciel na odległość skoku — to nie przelewki!

Podnoszę się nieznacznym ruchem, aby bestji nie podrażnić. Mruknął jeszcze kilka razy — i zaległa cisza.

Cofam się więc tyłem krok za krokiem; — wreszcie znalazłem się w przyzwoitej odległości, i powróciłem do domu. Tam zaalarmowałem Kazimierza. Dobrawszy sobie kilku ludzi z dzidami i drągami, ruszyliśmy w to miejsce z zamiarem wyparcia rabusia na dolinę, gdzieby można go było dostać na strzał.

Próżne jednak były nasze zabiegi. Rabuś nie dotrzymał placu. Pozostało tylko po nim „corpus delicti“ połowa „Mbawali“ którą, widać, tam dojadał.

C. d. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Żmija, jej życie i obyczaje

(ze wspomnień Karola Hagenbecka)

Ciąg dalszy i dokończenie

Znając, jak wielką ilość potrzebuje w niewoli żyjący boa pokarmu, ptactwa lub zwierząt, do swego wyżywienia, łatwo przedstawić sobie można, co pożera ten potwór na swobodzie żyjący i zupełnie mnie nie dziwiło, gdy on bez zbytniego trudu pożarł człowieka

Podróżnik amerykański, Hardner, wspomina nam w swych notatkach brazylijskich, o masie spotykanych nad brzegami rzek i jezior błotnistych, nad Amazonką itp., olbrzymów węży ludojadów, do 40 stóp długości posiadających, przy grubości potężnego uda ludzkiego. W żołądku jednego z tych gigantycznych gadów znalazł on niestrawione jeszcze zupełnie części konia, zaginionego z jednej z bliskich ferm nadrzecznych, przed kilku dniami. Wąż ten wisiał martwy na pochyłem drzewie, najprawdopodobniej wyrzucony tu przez nagły pızypływ rzeki, co zaskoczył rabusia w letargicznym śnie trawienia nadmiernie obżartego żołądka. Dla ściągnięcia na ziemię tego potwora użyto parę koni, z trudnością mogących z nim się uporać.

W zwierzyńcu rzucamy często na pokarm płazom żyjące zwierzęta, z któremi one prędko i zręcznie się załatwiają, przełykając je bez wielkiej trudności. Proces ten odbywa się szybko. Gad z błyskawiczną szybkością rzuca się na swą ofiarę, zręcznie przydusza ją głową, owijając skrętami resztę jej ciała i tak w nich długo ją dusi i ściska coraz silniej, dopóki zupełnie jej nie ubezwładni i zadusi; a gdy upewni się o jej śmierci, pokrywa ofiarę obfitą śliną, najpierw głowę, potem resztę ciała, poczem powoli, z przestankami 10—12 minutowemi dla wytchnienia w pracy, wsuwa ją sobie w obszerną paszczę i dalszy przełyk. Na przełyk owcy, kozy lub cielaka boa traci do dwóch godzin czasu — poczem kilka godzin spędza w trawieniu i jakby śnie letargicznym — odrętwiałym.

Nie mniej, a być może straszniejszem jest jeszcze w skutkach ukąszenie grzechotnika lub innych wielu gatunków żmij jadowitych. Królik dotknięty jadem gada ginie w kilka minut po ukąszeniu go, jednakże nie zawsze płaz bywa zwycięzcą. Wiadomem jest powszechnie, że niekiedy małe zwierzęta wypowiadają walkę śmiertelną jakiemuś olbrzymowi i zręcznie go zwalczają i sam naocznie mogłem temu nieraz się przyjrzeć.

Pamiętam wypadek w mym zwierzyńcu, jak rzucony na pokarm okularnikomi szczur — nietylko nie był przez niego pożarty, lecz wąż zginął od swej ofiary. Każdego poranku lustrowałem mój zakład i jakże byłem niezmiernie zdumiony, widząc w klatce tego węża — z ogromną na głowie raną, nieżywego leżącego, a marnego szczura w zamyśleniu siedzącego w kącie klatki. Wyglądał jakby sam dziwił się swemu dziełu, zabójstwu tak wielkiego wroga — był zdrów, cały i suto obżarty mięsem swej ofiary. Widocznie wąż, zanim zdążył pochwycić szczura, ten znalazł się na jego głowie, wpił się w kręgi gada ostremi zębami. Odtąd zabroniłem rzucać tego małego gryzonia do klatek węży. Żałowałem strasznego widoku tej dziwnej i tak nierównej walki.

MISTRZ - ROTMISTRZ

Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało...

(Ciąg dalszy)

Tu na górach inny świat. Lasy, do których jakby na skrzydłach zaleciałem, gnany strachem, dziwnie mi jakoś przypomniały nasze puszcze. Z mego wysokiego stanowiska, widniała — jak okiem sięgnąć, — dobrze mi znana swoista knieja, gdzie czerwone, gonne sosny i siwe buki, naprzemian szły z dębami, co szumem poważnym stare klechdy głoszą.

A one mchem brodate, stare, patrzyły z góry na gęste zapusty młodzieży, jak patrzy patrjarcha na niezliczone potomstwo i błogosławiły bożej dziatwie, sękate nad nią rozpościerając konary.

Ptaki, które śpiewają w koronach drzew, to sami starzy znajomi. Jest i kos i trznadel i kowal leśny, dzięcioł. Żółtobrzucha wilga tenorem zawodzi, a szara, drobna drużyna, z mysikrólikiem na czole, toć ćwierkają, rzekłbyś, że po polsku.

Czuj duch! Coś szeleści podejrzanie w gąszczy. Ach, to dobry nasz znajomy zajączek, kica sobie, wybierając się na słodką trawkę. Wślad za nim żółty mykita sznurkuje, żywiąc w zbrodniczej duszy niecne zamiary. W oddali słychać coś, jakby rechtanie buchtujących dzików, a oto na przeciwległej zboczy, król gór rozpoczyna wspaniały pean do bożka miłości. Miło mi się zrobiło na duszy.

W takiem otoczeniu, w takich lasach i wśród takich zwierząt, czuję się jakby w domu. Odleciały strachy, umilkły niesamowite głosy... ja tu pan! Cały bór pachnie żywicą, sosenkami i dzikim chmielem tchną podszycia leśne. Jak tu miło, jak tu swojsko!

Lecz głód zaczyna dokuczać. Nie dziwota. Wczoraj nic w ustach nie miałem. Zapasy okrętowe porzuciłem w ucieczce, sztuciec teraz żywić mnie musi. W pochód między dęby i buki!

Grzmotnąłem mimochodem kulą między dwa rozkochane jarząbki, łącząc je ze sobą na wieki. Lecz sami przyznacie, że para tych karlików wśród kuraków leśnych rodu, to mało dla zaspokojenia forsownym marszem zaostrzonego apetytu. Trzeba się rozglądnąć za czemś większem.

Na przeciwległej górze znów słychać ryczenie jelenia. Spróbujmy go podejść. Skradam się ostrożnie,

Nierzadko powstają między płazami zacięte o zdobycz walki i śmiertelne boje, w których nieraz słabsze egzemplarze giną razem z uchwyconym przez nie pokarmem w żołądkach mocniejszych osobników. Niekiedy miałem sposobność przypatrzenia się takiemu widowisku. Oto rzucono jagnię do klatki, mieszczącej cztery grzechotniki w sobie. Wszystkie równocześnie rzuciły się na zdobycz, wyrywały ją sobie, aż odrzuciwszy ją od siebie daleko, splotły się w wielki kłąb z sobą, rzucający się jak wielka elastyczna i ruchliwa piłka, tarzająca się błyskawicznie z jednego do drugiego kąta klatki. Chcąc położyć koniec tej wściekłej walce, wsunąłem pałkę do klatki, by rozdzielić walczące bestje, gdy jedna z nich, a za nią wszystkie, wyciągnęły straszne łby ku mnie, jakby mi grożąc i zakazując mieszać się w ich domowe sprawy, poczem nową z sobą wszczęły walkę.

Po trzech z górą godzinach, zmordowane, wycieńczone, rzuciły się każda w swój kąt, co widząc czwarta, najmniejsza i mały tylko biorąc udział początkowy w sporze, pochwyciła biedne jagniątko, lecz jeszcze nie zdążyła go przełknąć, gdy inna już ją owinęła swemi kręgami strasznemi i dusić nielitościwie poczęła coraz silniej, póki jagnię nie wypuściła ze siebie i zduszona śmiertelnie nie rozciągnęła swego cielska szeroko. Znów zaczęto wydzierać sobie zdobycz, aż znudzony powróciłem do domu, a gdy nazajutrz rano podszedłem do klatki w mniemaniu, że same zastanę trupy, jakże byłem zdziwiony widokiem śpiących spokojnie po kątach stworzeń. Dozorca parku mówił mi, iż z małemi przerwami walka tych olbrzymich gadów trwała od 11-tej rano do do 10-tej wieczorem.

Nigdy nie mogłem pojąć, dla jakich powodów ludzie uważają węża za pewien symbol mądrości i czem więcej wnikałem w jego życie, tem większej wątpliwości nabierałem. Straszne obżarstwo, lenistwo i straszna mściwość i złośliwość są jego najwłaściwszemi i kardynalnemi cechami. Nie mogę jednak twierdzić, by żmija miała nieposiadać pewnych uzdolnień i rozumu, co przecież daje się zauważyć przy ich tresurze przez indyjskich fakirów. Lecz w tej tresurze człowiek nie może tego gadu doprowadzić do tego stopnia rozwoju umysłowego, jak to robi ze stworzeniem wyższej organizacji. Sztuki indyjskie zaklinaczy żmij polegają przedewszystkiem na unieszkodliwieniu jadem pełnych zębów ruchomych tego gadu tak przez ich usunięcie, jak i przez wyciskanie z nich zabójczego jadu, o czem naiwny widz nie jest poinformowany.

Z jadowitemi żmijami oddawna, jeszcze w czasie mego zajęcia, jako pogromcy zwierząt, byłem obznajmiony. Otrzymałem z Indyj transport jadowitych węży w zbyt, jak mi się zdawało, szczupłem dla ich ilości pomieszczeniu. Kazałem zbudować obszerną klatkę; a gdy była gotowa, chciałem w nią prosto przetrząsnąć całą starej zawartość. Postawiłem otworem jedną na drugiej i odkryłem dno klatki z grzechotnikami. Nie przewidziałem mogącego się zdarzyć wypadku. Węże zamiast wpadać do spodniej klatki, skorzystały z nieszczelności dna przystającego i zaczęły wydobywać się na zewnątrz. Nasze ocalenie mogliśmy jedynie zawdzięczać mej przytomności i odwadze indusów mi pomagających i dziś wspomnienie tej strasznej chwili w mem życiu — budzi jeszcze dreszcz zimny w mem ciele.

W 1898 r. o mało nie uległem niemniej strasznemu wypadkowi w mym zwierzyńcu. Po dłuższej nieobecno-

---

wilczym chodem. Ni gałązka sucha pod nogą nie trzaśnie, ani trącony kamyk nie zaszeleści, lecąc z góry w debrę.

Na prawo pomyka tanecznie rudel leśnych sarenek, a zoczywszy nieznaną im zjawę człowieka, stają i strzygąc łyżkami, patrzą, coby to było za dziwo. Fuknęła w gąszczy maciora, zasłaniając swem niekształtnem cielskiem całe stadko pręgowanego potomstwa. Kłapie groźnie zębami i straszy śmiałka, rapetami postukując.

Nie zwracam na to wszystko uwagi. Przedemną cel wyższy, król-jeleń mnie wzywa. A musi to być nie jakiś lada królik, lecz monarcha potężny, bo ryczy basem, jakiego w życiu nie słyszałem.

Teraz schodzi z góry ku potokowi, gdzie drugi odezwał się jeleń. Sypią się z gruchotem z pod racic kamienie, wieńce złośnie po pniach chlaszczą.

Przedemną halizna mchem porosła i rzadką trawą leśną. Tu go będę czekał.

Jest to chwila najwyższej emocji myśliwskiej. Kurczowo zaciskają się ręce na sztućcu, serce wali młotem, człek się cały w słuch zamienia. Oto z trzaskiem i szumem rozwierają się gąszcze leśne. Zwolna wysuwa się na polanę tyle upragniony, z tak drżącem sercem oczekiwany. Istotnie wspaniały okaz. Praszczur chyba jeleniego rodu.

Stanął w jaskrawych promieniach słońca, łeb dumnie wyciągnął w górę i na krzyżach złożywszy ciężar przepotężnych rogów, ryknął z pełnej piersi, aż górskie zawtórzyły mu echa.

Spoczywa już muszka na łopatce, palec cyngiel pociąga... huknął strzał. Spiął się śmiertelnie ranny, badyle ku niebu jakby ze skargą na mordercę wyrzucił, potem załamał się w sobie, osunął na mchy. Raz jeszcze się porywa, pada znów na kolana, łeb ku ziemi zwiesza. Drugi strzał dobija go. Już leży cichy i spokojny, a jednak zawsze w swej królewskości majestatyczny władca gór i tylko z małej ranki rubiny się sączą na mchów rudawe podłoża.

Podchodzę do niego. Co za niebywała zdobycz. Ogromne cielsko, płowa suknia gęsto znaczona siwizną, każą wnioskować o jego sędziwym wieku. A cóż dopiero wnioskować o rogach. Tak grubych i suto operlonych nie widziałem w życiu, a odnóg moc nieprzebrana. Poprostu zrachować je trudno.

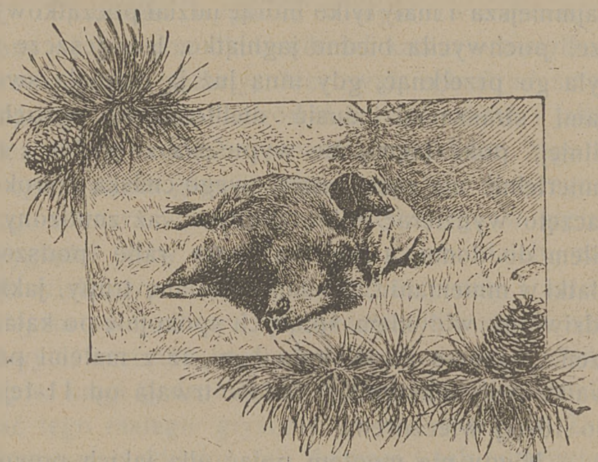
Chowają systematyczne Niemcy, gdzieś w królewskich zbiorach, wspaniały jeleni wieniec, o sześćdziesięciu kilku końcach. Młodzieniaszek to był w porównaniu

ści w domu udałem się sam na lustrację mych parków. W jednej z klatek z wielkiemi płazami uderzył mnie ostry zapach zgnilizny i po dłuższej obserwacji i uwadze zauważyłem między żywemi okularnikami dwa gnijące trupy tych płazów. Nie czekając na nadejście dozorcy, wsunąłem żelazny drążek przez ruchomy otwór do klatki i najbliżej przy otworze leżącego potwora z pewną łatwością nawet udało mi się wyciągnąć z klatki. Drugi leżał dalej i na nim spały dwa inne. Aby dosięgnąć trupa żelazem, musiałem nagiąć się nad samym wierzchem siatki klatki i niemal twarz do niej przyłożyć, by lepiej zorjentować się w położeniu ścierwa. Zaledwie żelazo dotknęło śpiące na trupie węże, gdy rozbudzone i wściekłe podniosły swe łby straszne i jeden z nich rzucił się do mej twarzy i dzielącą nas siatkę uchwycił zębami i bryzgnął mi obfitą śliną w oczy. Nazajutrz całą twarz miałem pokrytą małemi pęcherzykami żółtawemi, piekącemi mnie długi czas jak ogniem, a rękawy surduta kryształkami żółto-zielonemi. Nie ulega wątpliwości, iż jad dostawszy się do krwi, spowodowałby śmierć nieuniknioną.

Więzione żmije rzadko bardzo w niewoli wydają potomstwo, czego przyczyny nigdy dociec nie mogłem. Gdy jedne wylęgają potomstwo z jaj — inne rodzą je żywe. Przywieziono mi brazylijskiego Eunectus murinus, samicę, która po miesięcznym pobycie w mem zwierzyńcu urodziła nie mniej i nie więcej jak 48 gadzin, każdą w osobnym woreczku błonkowym — wszystkie jednak urodziły się nieżywe. Samice z jaj płodzące nie mniej są płodne i kładą do 50 jaj. Brazylijska dusicielka zniosła całą olbrzymią kupę jaj podługowatych w czasie podróży do Europy i z nich wylęgło się dwadzieścia jeden potworków, które zdrowo i cało otrzymałem do mego zwierzyńca. Bardzo długo żyły w swych skorupkach, z nich na pokarm wypełzały, w nie się do snu chowały. Głównem ich pożywieniem były myszki białe, od żab odmawiały się stanowczo.

Wschodnie narody nietylko oswajają się z widokiem węży, lecz żyją często w ich sąsiedztwie, są nawet nietylko oddzielne rodziny dzikusów, lecz całe plemiona oswojone nawet z jadem żmij. Kunszt zaklinania żmij przechodzi z rodu w ród i każdy członek takiej rodziny w pewnym stopniu jest obeznany z jadem, stykał się z nim w pewnej mierze, a ślina zaklinacza węży ma służyć — według podań podróżnych z tych krain — za pewną prezerwatywę i antidotum dla ukąszonych przez jadowite stworzenia.

Legenda o spożywaniu przez Mitridatesa jadu wężowego, co chroniło go od otrucia przez jego wrogów, ma swoją rację.



---

do tego antenata. Ten liczy kilkaset kończyn i drugie tyle startych zupełnie, lub nadłamanych.

Z żalem dobywam kordelasa. Sam czuję, jak dalece poniżam się tą czynnością. Lecz głód to wielki mocarz. Gdzie on rozkazuje, milkną inne względy. Z ciężkiem westchnieniem zabieram się do krwawej roboty. Zgrzytnęło ostre żelazo na jakimś twardym przedmiocie. Mimo energicznego pchnięcia, nie zagłębia się więcej. Półkolistem cięciem obkrawuję zawadę i wydobywam na wierzch kawał metalu. Co widzę — starcze, tyś kiedyś oszczepem był ranion bronzowym! Sędziwym być musi twój wiek. Wszak ludzie, zanim sztukę lania żelaza posiedli, bronzowemi posługiwali się grotami.

Przedmiot, który trzymam w ręku, to złom nasady oszczepu. Na tej nasadzie jakieś litery błyszczą na poły zatarte. Odczytuję je z trudem. Krew uderza mi do głowy, bronz wypada z drżącej ręki.

Tubalkain fecit!!!

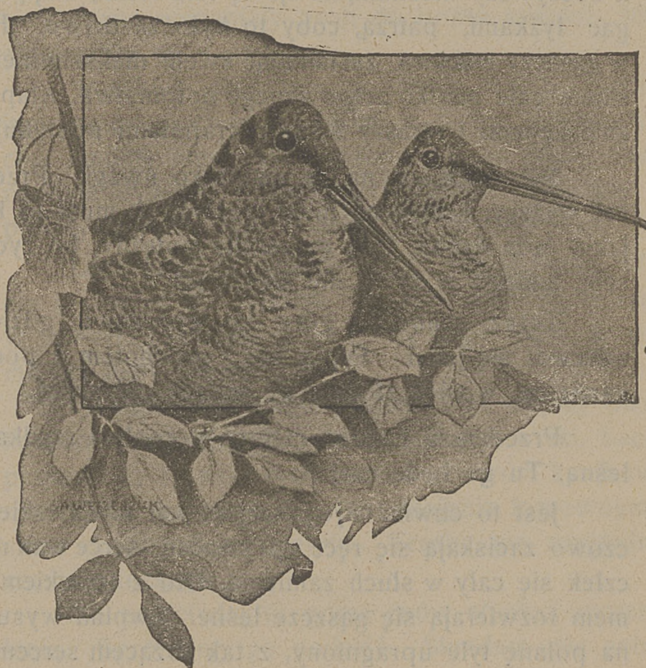
Byłżebyś czcigodny jeleniu, współczesny wnukom praojca naszego Adama? Byłżebyć jednym z tych jeleni założycieli dynastji, co jeszcze po raju chodzili? A może jesteś tym, co z rąk Stwórcy życie wziąwszy, pierwszy swym rykiem godowym, echa gór obudził?

Niesłychaną tą zdobycz, przedhistoryczny jeleń!

Klnę się na łuk i strzały pierzaste boskiej Artemidy, żem spotkanie to niebywałe, wiernie opisał, tak jak się przydarzyło, bez żadnych literackich dodatków.

. . . .

C. d. n.



Notatki bibljograficzne.

Jan Sztolcman. Nad Nilem Niebieskim. Wyprawa myśliwska Józefa hr. Potockiego do Sudanu. Z ilustracjami Józefa Rapackiego, Wydanie II. Warszawa 1928. Gebethner i Wolff. Druk Piekarniaka. Str. 151 i spis rzeczy. Wyprawa ta odbyła się, jak wiadomo, w r. 1901. Pierwsze wydanie pięknego dzieła, poświęconego jej opisowi, z datą 1902., było w krótkim czasie wyczerpane. Po wojnie stało się ono wprost rzadkością. Miłośnicy opisów podróżniczych, przyrodnicy, myśliwi, lubujący się w książkach, ofiarowywali za egzemplarz wysokie ceny, jak za wszystkie dzieła Sztolcmana; wszystkim bowiem towarzyszył niezwykły popyt, przyczem, rzecz charakterystyczna, żadno z nich mimo upływu czasu, nie traciło swej wewnętrznej, zawsze żywej, wartości. „Nad Nilem Niebieskim" w drugiem wydaniu spotka niewątpliwie los tensam. Składają się na to dwa czynniki: powaga Autora, jakoteż wspomnienie nieodżałowanego ś. p. Józefa hr. Potockiego, inicjatora wyprawy. Należy podnieść, że ilustracje w obecnem wydaniu wypadły doskonale, dzięki pięknemu papierowi i starannej technice.

Jan Sztolcman. Jak unikać wypadków z bronią. Nakładem Centralnego Związku Polskich Stow. Łowieckich. Warszawa (1928). Druk Wyszyńskiego i Ski., str. 23. Jestto osobne odbicie znakomitych, na wytrawnem doświadczeniu opartych artykułów z *„Łowca Polskiego"*, które, jak wiadomo, zdobyły powszechne uznanie. Cena broszury 25 gr. umożliwia jak najszersze jej rozpowszechnienie. Młódź myśliwska powinna sobie dobrze wbić w pamięć reguły w niej zawarte, ale i starzy przeczytają ją z przyjemnością i satysfakcją. Aby swym członkom ułatwić nabywanie broszury, M. T. Ł. postarało się o pewien zapas, który jest do dyspozycji w biurze Towarzystwa.

Dr. Zygmunt Fedorowicz. Krajowe zwierzęta ssące. Ze 108 rysunkami w tekście. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1928. Str. 2 + 210 i spis rzeczy. Dedykacja: „Pamięci Antoniego Wałeckiego, niestrudzonego badacza fauny ojczystej".

Zygmunt Fedorowicz, urodzony w r. 1889 w Warszawie, tamże ukończył gimnazjum; studjował na uniwersytecie nauki przyrodnicze w Louvain (Belgja) i Krakowie, gdzie otrzymał stopień doktora filozofji. Poświęcał się głównie studjom anatomji porównawczej w pracowni prof. H. Hoyera, u którego był w ciągu jednego roku przed wojną asystentem. Od wybuchu wojny osiadł na stałe w Wilnie, pracując jako nauczyciel, a potem dyrektor w tamtejszych gimnazjach. Obecnie jest wizytatorem szkół O. S. Wileńskiego.

Prace naukowe Z. Fedorowicza, z dziedziny anatomji porównawczej i rozwoju układu naczyniowego płazów, drukowane były w Rozprawach Akademji Umiejętności w Krakowie (1913, 1914, 1920). Z zakresu fizjografji Z Fedorowicz ogłosił głównie prace, dotyczące okolic Wilna oraz Wileńszczyzny (wirki, owady prostoskrzydłe, płazy i gady), drukowane w Pamiętniku Fizjograficznym w Warszawie, oraz w Roczniku Tow. Przyjac. Nauk. w Wilnie.

Świeżo wydana książka, której tytuł wymieniliśmy w nagłówku, przedstawia się bardzo poważnie. „Jestto — jak pisze autor w przedmowie — najsumienniejsze i najskrupulatniejsze zsumowanie badań autorów polskich i obcych, odnoszących się do zwierząt ssących ziem polskich i rozrzuconych w dużej ilości prac, których spis podany został na końcu książki". Zadaniem jej jest krótkie zestawienie wiadomości o zwierzętach ssących dzikich, zamieszkujących ziemie polskie w obecnych granicach. Takiego zestawienia piśmiennictwo polskie dotąd nie posiada. Uwzględniano bowiem albo tylko poszczególne gatunki, albo poszczególne dzielnice. Istnieje wprawdzie „klucz do oznaczania zwierząt kręgowych ziem polskich", wydany pod kierownictwem Hoyera, ale jak podnosi Fedorowicz, ten *„klucz"* nie może zaspokoić potrzeb szerokich kół czytelników, jak: nauczycieli, młodzieży szkolnej i akademickiej, rolników, **myśliwych.** Bibljografja umieszczona przy końcu dzieła, zestawiona jest pracowicie i jest już sama przez się pouczającą. Zauważylibyśmy jedynie, że uderzył nas w niej brak prac Domaniewskiego, zwłaszcza jego „Geografji zwierząt" (1921), tembardziej, że rozdział III. swej książki poświęcił Fedorowicz właśnie rozmieszczeniu geograficznemu zwierząt ssących. Ryciny dobrane są przez Fedorowicza doskonale i mają tę zaletę, niestety tak często przez naszych autorów lekceważoną, że zawsze sumiennie zaopatrzone są uwagą, skąd zostały zaczerpnięte. Książka godną jest najgorętszego polecenia. Tu w *„Łowcu"* możemy ją polecić braci myśliwskiej jako niezbędny podręcznik. Zaspokoi ona niejedną piekącą potrzebę, rozpowszechni wśród myśliwych wiadomości z zoologji łowieckiej, której nieznajomość niejednokrotnie w sposób rażący daje się odczuwać. Za wydanie książki należą się nowe słowa uznania tak bardzo zasłużonej firmie wydawniczej Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

W. Z.



Korespondencje

Mańkiewicze w styczniu 1928.

Na polowaniach w dniach 16, 17, 18. stycznia 1928 roku w lasach ordynacji Dawidgródeckiej Karola Ks. Radziwiłła w leśnictwie Tursko - Ladeckim w trzech ostępach zabito: 3 odyńce, 12 loch, 22 przelatków, 7 wycinków i 2 lisy. Razem dzików 44.

Na polowaniu byli obecni: 1. Arcyksiążę Karol Habsburg, 2. hr. Zdzisław Tarnowski, 3. hr. Paweł Potocki, 4. hr. Roman Potocki, 5. hr. Jan Szołdzki, 6. hr. Jerzy Potocki, 7. ks. Hieronim Radziwiłł, 8. hr. Maurycy Potocki, 9. hr. Tomasz Zamoyski, 10. ks. Władysław Radziwiłł, 11. hr. Benedykt Tyszkiewicz, 12. ks. Ordynat Dawidgródecki.

Pogoda w czasie polowania była fatalną, gdyż przez całe trzy dni polowania padał deszcz i w ostępach było pełno wody.

Zarząd Ordynacji Dawidgródeckiej
Karola ks. Radziwiłła.

Łukawica dolna w lutym 1928.

Brak wiadomości łowieckich z powiatu stryjskiego zmusza mię do zasilenia „Łowca“ kilkoma rewelacjami z polowań odbytych w tutejszym powiecie.

Stosunki łowieckie od lat kilku uległy znacznej poprawie dzięki wysiłkom ludzi, którzy trzeźwo zapatrują się na kwestję łowiectwa. Poprawa zwierzyny widoczną jest prawie w każdym rewirze, zwłaszcza stan zajęcy podnosi się znacznie.

Rezultaty polowań w porównaniu do lat poprzednich o wiele lepsze, mimo szkód, jakie wyrządziły nam tego roku grad i powódź.

Podaję poniżej rezultaty z trzech polowań:

Dnia 3. 12. 1927 polowano w Grabowcu w strzelb 12. Ubito 33 zajęcy. Strzałów przeszło 200, polowano w polu.

Dnia 2. I. 1928 polowano pół dnia w Łukawicy górnej. Pędzenia leśne. Ubito w strzelb 7 — 32 zajęcy i 1 jarząbka.

Dnia 30. I. 1928 polowano w Żulinie pędzenia polne. Strzelb 10. Ubito 64 zajęcy, 1 lisa i 2 jastrzębie.

W wyż wymienionych rewirach przed dwoma laty padało na polowaniu 10-15 zajęcy. Poprawa przeto widoczna.

Szereg rewirów zostanie zasilonych z wiosną b. r. sprowadzonemi zajęczycami, co niewątpliwie bardzo podniesie rezultaty polowań.

Eustachy Barański.

Skała, w lutym 1928.

Na odbytych polowaniach w dobrach ordynacji Skała, Agenora hr. Gołuchowskiego, w sezonie zimowym 1927-28, ubito:

12. listopada 1927 Bereżanka: strzelb 8. — 1 lis, 73 zajęcy, 2 słonki. — 26. listopada Siekierzyńce: strzelb 11., 25 zajęcy. — 15. grudnia Szuparka: strzelb 14, 1 lis, 84 zajęcy. — 19. grudnia Burdiakowce: strzelb 13., 99 zajęcy. — 30. grudnia Turylcze: strzelb 17., 99 zajęcy. — 5. stycznia 1928 Iwanków: (kotły) strzelb 11., 1 lis, 61 zajęcy. — 10. stycznia Gusztynek: (kotły) strzelb 6., 70 zajęcy. — 28. stycznia Łosiacz: strzelb 13., 156 zajęcy. — 30. stycznia Skała: strzelb 13., 183 zajęcy. — 31. stycznia Iwanków: strzelb 14., 219 zajęcy. — Suma 3 lisy, 1069 zajęcy, 2 słonki.

Stan zajęcy bardzo dobry — pomimo, że ogólnie narzekają w najbliższym sąsiedztwie jak też w innych powiatach Podola, że jest bardzo mały. Gdyby nie straszne warunki śniegowe — w lesie powyżej 60 ctm. — wynik 3-dniowego ostatniego polowania byłby conajmniej o 30 proc. lepszy.

Stan sarn bardzo dobry. W wymienionych ostatnich 3 rewirach lasowych, gdy przed 3 laty było około 40 sztuk, obecnie jest już około 150. Na polowaniu w Skale i Iwankowie widziano już kilka rogaczy 6-aków z zupełnie wyrośniętymi rogami.

Kuropatw stale z roku na rok widzi się więcej, i o ile dalszej rozmnoży ciężkie podolskie zimy nie przeszkodzą, za lat 2 będzie ich dużo.

Lisy, które masowo wyginęły na parchy, zaczynają się pojawiać i to już zdrowe.

Zarząd lasów ord. Skała
A. hr. Gołuchowskiego.

Lwów, w styczniu 1928.

Dnia 21 stycznia przy niesprzyjającej pogodzie, bo mokrym nawalnym śniegu, odbyło się polowanie na dziki w Wiszence majątku Stanków w 12 strzelb. Na rozkładzie 6 dzików; w następnych dniach personal leśny dobił 4 postrzałki dzicze.

Po śniadaniu wzięto dalsze mioty i padło 18 zajęcy.

Królami polowania byli pp. Obmiński i Grąziewicz, którzy ubili po dwa dziki.

Fr. Kamieński.

Rożyska, w lutym 1928.

Rok myśliwski w powiecie skałackim przedstawia się na ogół korzystnie i trzeba przyznać, że wynagrodził starania myśliwych-hodowców hojnie w zwierzynie, której hodowla u nas może się pomyślnie rozwijać t. j. w zającach. Muszę jednak zauważyć, że zające chowają się u nas dobrze jedynie w lasach, na polach mimo troskliwej opieki nie rozmnażają się dostatecznie. Przypuszczam, że z powodu otwartego terenu, braku remiz i miedz obsadzonych, a także z powodu tego, że w niektórych gminach polowania polne posiadają jeszcze spółki łowieckie z „kmiotków“ złożone. W kotłach też z wyjątkiem Kołodziejówki i Okna nie polowano.

Stan sarn bardzo dobry. Kozłów nie strzelano z wyjątkiem Kaczanówki.

Pod koniec miesiąca marca z. r. rozpoczął się ciąg słonek, których przelot tego roku na wiosnę był liczniejszy niż zwykle. Główny ciąg odbył się u nas między 26. marca, a 15. kwietnia.

Ptactwa błotnego i wodnego było mniej niż w innych latach z powodu małej ilości opadów, a wskutek tego łatwego dostępu do szuwarów nadzbruczańskich, z czego chłopi nie omieszkali skorzystać w postaci łatwej zdobyczy w jajach dzikich gęsi i kaczek, której to kradzieży mimo pilnowania nie można było uchylić.

Jesienny ciąc słonek był b. słaby tak, że polować w jesieni na słonki z nagonką nie było można.

Rezultat polowań przedstawia się następująco:

U p. Jerzego Fedorowicza: Okno, 20, 21 i 30. I. 1928 — 1 lis, 242 zajęcy, (dwa dni na polach).

U p. Kazimierza Grocholskiego: Rożyska, 29. XII. 1927 — 114 zajęcy.

U pp. Ksawerów Jaruzelskich: Skałat, 11. X., 14. i 15. XII. 1927 — 4 lisy, 18 bażantów, 778 zajęcy. — Kaczanówka, 11. XI. i 31. XII. 1927 — 1 dzik, 1 kozioł, 2 lisy, 140 zajęcy.

U hr. Ludwika i Antoniego Koziebrodzkich: Chlebów, 17. XII. 1927 — 88 zajęcy.

U hr. Aleksandra Zaleskiego: Ostapie, 19. I. 1928. 1 lis, 386 zajęcy.

Busk, w lutym 1928.

W dniach 10., 11. i 12. stycznia odbyły się polowania na dziki w lasach dóbr buskich arcyksiężnej Alicji Habsburg i Jej Syna małoletn. Kazimierza hr. Badeniego.

Udział w polowaniach wzięli arcyks. Karol i Leon Olbracht, ks. Hieronim Radziwiłł, hr. Juljusz Bielski, hr. Jerzy Potocki, hr. Jan Szołdrski, hr. Juljusz Borkowski, prof. Franciszek Gröer, p. Tomisław Jędrzejowicz i p. Stanisław Kownacki.

W 14 wziętych miotach wszędzie były dziki; meldunki tropicieli były tak dokładne, że ilość sztuk zapowiedzianych była zawsze w miocie.

POLOWANIE W BUSKU W DNIACH 10, 11 i 12 STYCZNIA 1928



1. arcyks. Karol Olbracht, 2. Juljusz hr. Bielski, 3. Juljusz hr. Borkowski, 4. Tomisław Jędrzejowicz, 5. prof. Franc. Groer, 6. ks. Hieronim Radziwiłł, 7 arcyks. Leon Olbracht, 8. Jan hr. Szołdrski, 9. Stanisław Kownacki

U p. Stanisława Zagórskiego: Kołodziejówka, 5. X. 1927 i 31. I. 1928 — 241 zajęcy. Pierwszy dzień na polach.

Kazimierz Grocholski.

Rożyska, w lutym 1928.

U p. Stanisława Rudrofa w Brodach polowano w 6 strzelb w dniach 23., 24., 25., 27. i 28. I. b. r. na dziki i zające. Padło 10 dzików i 90 zajęcy, z czego 2 dziki zabiła p. Zofja Grocholska.

Stan dzików i zajęcy b. dobry.

Stan jeleni, których w tych rewirach przed wojną liczono około 150 sztuk, poprawił się. Obecnie znajduje się około 30 sztuk, podczas gdy przed dwoma laty około 10 sztuk liczono.

Kazimierz Grocholski.

Nagonka była doskonale prowadzona i polowanie dobrze zorganizowane.

Polowanie całe udało się doskonale dzięki nadzwyczajnemu wprost strzelaniu myśliwych.

Strzelano do 15 dzików, z których 13 zostało zabitych.

Największego odyńca, idącego w pełnym galopie, o wadze 175 kg., rzadkim obwodzie w piersi 164 cm. a w brzuchu 136 cm. ubił hr. Bielski strzałem na 86 kroków.

Ładnego odyńca o wadze 152 kg. strzelonego na komorę w gąszczu, zabił p. Jędrzejowicz bardzo prawidłowym strzałem. Z 3 dzików zabitych przez ks. Hieronima Radziwiłła, 2 padło strzelonych na wielki dystans w trudnych bardzo warunkach.

Opieka więc św. Huberta roztaczała się nad całością tych pięknych łowów.

Jeden z myśliwych.

Łówcza, w styczniu 1928.

W dniu 28. stycznia odbyło się w lasach Rudki i Brusna Nowego polowanie w 12 strzelb. Na rozkładzie znalazło się 37 zajęcy i 2 lisy (rogaczów nie strzelano). Królem polowania był p. Hugo br. Waltman, który ubił 8 zajęcy i lisa. Po polowaniu właściciele pp. Dr. Maksymiljan i Alfred Liptayowie podejmowali w dworze łówczańskim drużynę myśliwską z prawdziwie staropolską gościnnością. *M.*



Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 4. lutego 1928. r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni wiceprezesi C. Czarkowski-Golejewski, A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: W. Garapich, Dr. Małaczyński, St. Pieńczykowski, Dr. I. Śnieszek, zastępca St. Kiełczewski, Fr. hr. Meraviglia; zaproszony M. Chrzanowski.

Ostateczną redakcję memorjału w sprawie rozporządzenia o prawie łowieckiem uchwalono.

W poczet członków przyjęto: Inż. Ludwika Drwotę w Bielawinie powiat Czortków i prof. dr. Tadeusza Ostrowskiego we Lwowie.

Następne posiedzienie Wydziału naznaczono na dzień 29. bm.

Od Administracji!

Podajemy do wiadomości członkom, iż przez Pp. Juljana Ejsmonda i St. Błonarowicza Radców Ministr. Rol. zostało wydane nowe prawo łowieckie z obszernymi i szczegółowymi komentarzami.

Do nabycia w cenie po 1·50 zł za broszurkę u p. Juljana Ejsmonda, Radcy Ministr. Rol. — Warszawa, pl. Trzech Krzyży 12.



Odezwa

Budowa sanatorjum przeznaczonego dla leśników w Worochcie

W ubiegłym roku Koło Studentów Inżynierji Lasowej Politechniki Lwowskiej rozpoczęło wspólnie ze Związkiem Inżynierów Leśników Wychowanków Politechniki Lwowskiej, akcję, mającą na celu wybudowanie Sanatorjum dla leśników w Worochcie.

Celem podjętej akcji było stworzenie Sanatorjum, z którego mogliby korzystać w pierwszym rzędzie studenci wszystkich trzech Uczelni leśnych w Polsce, pozatem zaś, w miarę miejsca, wszyscy inni leśnicy, względnie czlonkowie ich rodzin.

Brak placówki tego rodzaju już oddawna dawał się dotkliwie we znaki. Wystarczy wspomnieć, że na Oddziele Lasowym Politechniki Lwowskiej kilku kolegów zmarło w ciągu studjów na gruźlicę — tylko dlatego, że nie mieli środków materjalnych na pokrycie kosztów leczenia, w jednej z naszych miejscowości klimatycznych. Jest rzeczą jasną, że jedyne obecnie Sanatorjum w Zakopanem stanowiące własność Centrali Bratnich Pomocy Wyższych Uczelni Polskich nie może wystarczyć dla ogółu młodzieży akademickiej.

Źleby jednak było, gdybyśmy w tych warunkach stanęli na stanowisku, że jest to zło konieczne, z którem się trzeba pogodzić. Młodzież musi posiadać dużą dozę energji życiowej, musi dążyć do usunięcia tych bolączek bez względu na związany z tem nakład pracy i trudów.

Z drugiej strony daje się odczuć potrzebę takiego Sanatorjum nietylko dla studjującej młodzieży, lecz także dla ogółu leśników. Nieraz wprawdzie można spotkać się ze zdaniem, że leśnik nie potrzebuje żadnego uzdrowiska, gdyż ma u siebie sanatorjum — jest to jednak twierdzenie nie wytrzymujące żadnej krytyki, twierdzenie wygłaszane przez tych leśników, którym się dobrze powodzi, że w razie potrzeby mogą sobie pozwolić na wyjazd do najdroższych nawet miejscowości klimatycznych. Wystarczy wspomnieć o licznych rzeszach leśników, zajętych w biurach Dyrekcyj lasów, w Ministerstwie, w Inspektoratach Ochrony lasu i t. p. Nieraz potrzebują oni wypoczynku lub poratowania zdrowia, lecz przy obecnym stanie cen w naszych miejscowościach klimatycznych jest to dla nich rzeczą niemożliwą.

Celem zaradzenia powyższym bolączkom obydwa wymienione Towarzystwa zawiązały Komitet, mający zrealizować plan budowy Sanatorjum.

Na czele Komitetu stanął Inż. Cyryl Kochanowski, profesor Politechniki Lwowskiej, protektorat nad Komitetem objęli: Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Dr. Gustaw Dobrucki, Minister Spraw Wewnętrznych Dr. Maurycy Jaroszyński, Dyrektor Lasów Państwowych Stanisław Kęczkowski, Wojewoda Władysław Korsak, Delegat Ministerstwa Rolnictwa Adam Loret, Dyrektor Departamentu Leśnictwa Jan Miklaszewski, Minister Rolnictwa, Karol Niezabytowski, J. M. Rektor Politechniki Lwowskiej Dr. Juljan Tokarski.

Komitet rozpoczął swą pracę od kroków mających na celu uzyskanie od Ministerstwa Rolnictwa parceli z obszaru lasów państwowych w Worochcie. Dzięki życzliwości Ministerstwa starania te zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem i w najbliższych dniach zostanie spisana umowa dzierżawna, mocą której Ministerstwo Rolnictwa wydzierżawia obydwom Towarzystwom parcelę w Worochcie na 25 lat. W przyszłości umowa ta będzie mogła być prolongowana.

Pozatem wydał Komitet cegiełki opiewające na cenę 50 gr; drogą rozsprzedaży zgromadzono dotychczas kwotę 6.000 zł.

Dotychczasowa akcja Komitetu musiała się ograniczyć do bardzo szczupłych ram. Nie mając realnych podstaw, nie można jej było wprowadzać na szersze tory. Obecnie jednak przez uzyskanie parceli zostały stworzone konkretne podstawy dalszej pracy, wobec czego zakończyć należy prace przygotowawcze i całej akcji nadać charakter bardziej ogólny.

Celem Komitetu jest stworzenie Sanatorjum, które ma służyć ogółowi leśników; stąd też Komitet zwraca się do ogółu leśników z prośbą o propagandę, oraz moralne i materjalne poparcie. W pierwszym rzędzie wchodzą tu w grę istniejące Towarzystwa leśne a mianowicie:

Koło Leśników S. G. G. W.

Koło Leśników Uniwersytetu Poznańskiego.

Związek Inżynierów Leśników Wychowanków S. G. G. W.

Związek Inżynierów Leśników Absolwentów Uniwersytetu Poznańskiego.

Związek Zawodowy Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej.

Polskie Towarzystwo Leśne.

Towarzystwo Urzędników Leśnych z akademickiem wykształceniem.

Sądzić należy, że wymienione Towarzystwa przystąpią do akcji, która w przyszłości zapewni ich członkom znaczne korzyści. Rozumiemy, że Towarzystwa te nie mogą nam dostarczyć poważniejszych kapitałów, gdyż w dzisiejszych warunkach żadne Towarzystwo nie może się uskarżać na nadmiar funduszów. Wystarczy jednak, gdy Towarzystwa te zobowiążą każdego ze swych członków do rozsprzedaży 50 cegiełek, to zaś każdy leśnik bez żadnego wysiłku może uczynić — trzeba tylko nieco dobrej woli.

Tą drogą można zebrać bardzo poważne fundusze. Dla przykładu przytaczamy krótkie obliczenie:

Ilość leśników zorganizowanych w wyszczególnionych Towarzystwach przyjąć można na 10.000, by jednak nie kalkulować zbyt optymistycznie przyjmujemy za podstawę obliczenia cyfrę 5.000. Każdy z tych leśników sprzedając 50 cegiełek po 50 gr wpłaci na rzecz Komitetu 25 zł, suma zaś uzyskana w ten sposób wyniesie

5.000 × 25 zł = 125.000 zł.

Połowa tej kwoty wystarczy zupełnie na zrealizowanie przedłożonego projektu.

Pozatem zawsze znajdzie się sposobność do sprzedaży cegiełek w lokalach urzędowych Towarzystw, przy wystawianiu rachunków, w Spółdzielniach i biurach inżynierskich; wreszcie można uzyskać znaczne sumy od firm i przedsiębiorstw drzewnych oraz od prywatnych objektów leśnych.

Jak widać z tego, przedłożony projekt nie jest wynikiem nierozważnego zapału, tego młodzieńczego „Poruszymy z posad ziemię" — przeciwnie, jest wynikiem zimnej, przeprowadzonej z ołówkiem w ręku — kalkulacji. Urzeczywistnienie naszego planu jest rzeczą zupełnie łatwą do przeprowadzenia, wymaga tylko dwóch warunków:

1. Podjęcia przedłożonego projektu przez Towarzystwa leśne.

2. Niezależnie od tej odezwy Komitet nawiąże bezpośredni kontakt z wszystkiemi Towarzystwami, celem definitywnego ustalenia programu pracy na najbliższą przyszłość. Obecnie zaś apelujemy tą drogą do ogółu Leśników Polskich, by akcję naszą wspomogli drogą propagandy, oraz przysparzania środków materjalnych. Inne organizacje zawodowe doszły drogą solidarnego wysiłku do bardzo poważnych rezultatów, sądzić więc należy, że nasze organizacje leśne nie pozostaną w tyle.

Nadmieniamy przytem, że Komitet odwrotną pocztą wysyła żądaną ilość cegiełek; adres Komitetu: Komitet Budowy Sanatorjum. Lwów, ul. św. Marka 1.

Wszelkie wpłaty skierowywać można do Komitetu, lub na konto czekowe w P. K. O. Nr. 153.386.

Sekretarjat Komitetu Budowy Sanatorjum.

Pięćdziesięciolecie trzylufka

W dniu 3. lutego b. r. popularny tak u nas trzylufek, także drylingiem zwany, obchodzi swe złote gody. Tegożsamego dnia w 1878 r. monachijski rusznikarz Piotr Oberhammer otrzymał patent na pierwszy trzylufek łamany kurkowy. Na wiele lat przedtem, w epoce broni nabijanej z przodu, istniały już w Niemczech takie trzylufki z lufą kulową na wierzchu a dwiema lufami śrutowemi pod spodem, mało jednak były używane, a z chwilą wprowadzenia broni łamanej (odtylcowej) wyszły zupełnie z użycia.

A. M.

Przysłowia myśliwskie.

„Leżąc wilk nie tyje".
„Próżna rzecz w lesie ryby łowić".

Minasowicz.

„Próżno szukać włosów u łysego".

Mączyński.

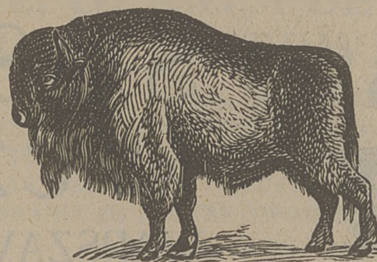
„Łóżka brać na niedźwiedzia — na odyńca mary,
Kurę śmiele bierz z kojca — każe łowiec stary".

Potocki.

„I zajączek wtenczas śmiały, kiedy lew w klatce".

Bohomolec.

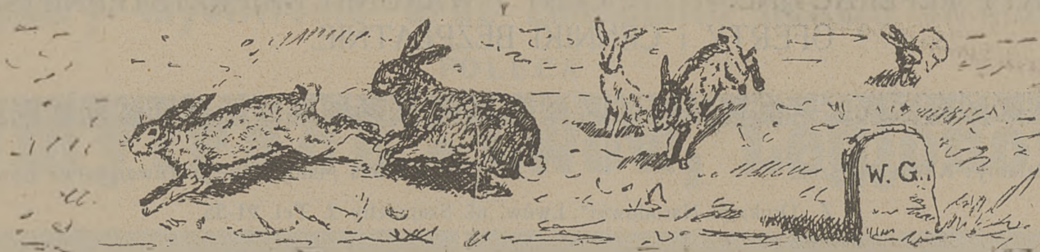
Zebrał Dr. Stanisław Koźmian Rejcher.



ZAPYTANIE W SPRAWIE TĘPIENIA KOTÓW.

Jaki środek może być najskuteczniej polecony do tępienia kotów domowych na terenie objektu parkowego wśród zabudowań miejskich, gdzie koty czynią wielkie spustoszenia wśród specjalnie pielęgnowanego ptactwa pożytecznego i śpiewającego.

Wszelkie recepty lub opisy pułapek — uprasza się skierować do Redakcji „Łowca", z adnotacją „Odpowiedź na zapytanie w sprawie tępienia kotów"



Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.